POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII | WARSZAWA, DNIA 4 PAŹDZIERNIKA 1930 ROKU | NR. 40

ANDRZEJ STRUG

33)

ŻÓŁTY KRZYŻ

— To już wszystko i więcej nic, bo lecąc w górę urżnąłem o sztangę od schodów i ocuciłem się dopiero na rybackim statku, na szwedzkim.

— A tamci?

— O tamtych nic mi nie wiadomo... W jakie dwie godziny po mnie „Frederica" wyciągnęła jeszcze dwuch, to był młodszy mechanik Krech i podoficer torpedowy Hoppe... Jeden miał całkiem głowę rozbitą a drugi, ten Hoppe, był cały, ale też pływał już nieżywy, bo zmarzł.

— A później?

— Potem, powiadali, nawaliła mgła i nic już nie było widać przez cały dzień... A tę sieć, przez którą my przepadli, to włóczył za sobą torpedowiec... Jeszcze z wieczora warował nad nami i czekał, ale nocą trafił widać na minę, bo wyleciał w powietrze... Przerwało go przez pół i nie uszło ani żywego ducha... Tak gadali ludzie z „Frederiki", rybaki, te Szwedy...

— No i co więcej, panie Gebeschuss? Niech pan sobie przypomni... Proszę, niech pan pije, wino chyba dobre? Jabym chciała znać najdrobniejsze szczegóły...

— Wino doskonałe, pani komendantowo, ale musiałbym zebrać myśli, żeby wszystko opowiedzieć... Bo kiedy więcej mówię, to mąci mi się w głowie...

— To nic, my poczekamy...

Długie milczenie. Sternik Gebeschuss odpoczywał, dysząc ciężko; chwilami przymykał oczy i twarz jego zamierała. Po tem, co opowiedział, wydawał się zjawiskiem nieprawdopodobnem, widziadłem z niedobrego snu, upiorem z głębiny morskiej. Budził się, odmykał oczy, popijał ze szklanki, a gdy dopił, Rita dolewała mu natychmiast. Korzystając z chwili, Claude uczynił mu znak i sternik zrozumiał go odrazu. Odpowiedział potakująco ledwie dostrzegalnem mrugnięciem powiek. Posiedział jeszcze, dopił wino, podziękował za więcej i zaczął się dźwigać z fotela. Z trudem wyprostował się. Za nim powstali Rita i Claude; oboje wyglądali przy tym olbrzymie, jak dzieci.

— Więc cóż, panie Gebeschuss?!

— A nic, pani komendantowo... Nie pamiętam. Jak mnie przepytywali i męczyli we sztabie floty w Kiel... A nic więcej nie umiałem powiedzieć... Kazali mi napisać... Napisałem, ale to był krótki raport... Nic oni się nie dowiedzieli odemnie więcej, niż pani komendantowa... Co było więcej? Może co było, może i nie było... Zapomniałem i już...

Wyprostował się, trzasnął obcasami po żołniersku i odchodził.

— A mój mąż? Gdzież on teraz może być?... Jeśli pan się uratował...

— Pan komendant? U nas we flocie to jest tak, że komendant ratuje się na ostatku... Ja byłem jedenasty, czyli że za mną czekało nas jeszcze dwudziestu i jeden...

— Aha... I wszyscy już stali w wodzie po szyję?

— Tak jest, po szyję, pani komendantowo.

— Dobrze. Dziękuję panu bardzo. Gdyby pan czego potrzebował, to jestem zawsze gotowa... Gdyby się panu coś jeszcze przypomniało, to pan do mnie napisze, prawda?

Gebeschuss skinął głową i poszedł. Ciężkie skrzypiące kroki oddalały się, głuchły, ucichły, gdzieś tam trzasnęły drzwi.

Rita zadumała się i stała pośrodku pokoju. Claude myślał bezradnie, co też teraz będzie. I niespodziewanie ogarnęła go fala najserdeczniejszego wzruszenia. Troska tej Rity baronowej von Tebben-Goorth stała się jego własną, rodzoną. Ona sama? Nie było ofiary, którejby dla niej nie uczynił teraz. Teraz i zawsze. Odezwało się w nim serce, sponiewierane przez wojnę, zmartwiałe i skrzepłe. W tej chwili ożył w nim człowiek, ten, którego sam zdusił był w sobie i zatracił przez wysiłek rozumu, ażeby przetrwać wojnę. Odpadła jak skorupa sztuczna mądrość i w duszy pojaśniało. Te czasy straszliwe, ten wrogi kraj, ta jego rola zdradziecka—wszystko stało się naraz jak przez czary wiosennie urocze, młodzieńczo piękne. Los tak chciał, żeby przez wszystkie piekła doszedł do tej chwili. Ażeby błądząc przez bezdroża wojny, spotkał Ritę i przed nią się ukorzył. Czyż nie w tem było wypełnienie jego żywota? Któż wskazuje człowiekowi jego szczyty, najwyższe napięcia, cel życia, sens życia i jego godny koniec? Niema na to rad, wskazań, nakazów, bezsilny jest rozum i namysł. Wszystko — w natchnieniu serca, całe życie — w jednej chwili...

Jeszcze raz obejrzał się wokoło, jakby po raz ostatni pytając, gdzie on jest, co czyni, czego chce? Obudzić się? Uciekać? Dokąd uciekać? Od czego?

Pokój tonął w ciszy, w niebieskawym zmierzchu. Wszystko tu było niepewne, jakby kiedyś przyśnione, zatracały się zarysy sprzętów, przestrzeń kurczyła się, to znów rozstępowały się ściany. Majaczył w kącie czarny połysk fortepianu z białemi kartami nut na pulpicie, majaczyły na ścianie złote ramy portretu.

Tyżeś to jest, człowieku nieznany, baronie von Tebben-Goerth? Na to pytanie rozjaśnił się w ramach cień ludzkiego kształtu, zapełgał raz i drugi, jak dopalona świeca, i zgasł. Spoczywaj w pokoju...

Jarzyły się z poza Renu sznury lamp i setki okien fabrycznych. Stary zegar cicho, niezmordowanie klekotał swoje sekundy, z półki bibljotecznej biała marmurowa głowa Goethego dumała nad światem, nad tą wojną i nad nimi dwojgiem. Rita stała przy oknie, jej czarna sylweta otoczona była jak gwiazdami rojem świateł zakładów „Badische". Claude podchodził ku niej zwolna, krok za krokiem. Sen trwał, ale strach było spłoszyć go skrzypnięciem posadzki, głośniejszym oddechem, myślą. Wszak wizja Rity mogła zgasnąć, a z nią nowy, niewiarogodny jego świat. Urwie się nagle, zamilknie, jak ostatni akord symfonji, która nie powtórzy się nigdy. Rita, baśń fantastyczna, podobna mgle wieczornej nad leśnem jeziorem... Cmentarna brzoza płacząca, na wieczny czas pochylona nad mogiłą... Osmętnica, żyjąca nieutulonym żalem, skazana bez ratunku, żeby zostać na świecie jeno cieniem...

Bądź jaką jesteś — ale zostań! Nie znikaj jeszcze, nigdy z mych oczu nie znikaj...

— Czy pani mi każe odejść, czy mogę przy niej zostać?

Odwróciła się od okna, spojrzała nań bezwiednie, przelotnie i ostrożnie, na palcach, jakby się skradając, znikła w ciemnym kącie, rozpłynęła się w ciszy. Claude czekał w uniesieniu, jak gdyby od tego, co teraz nastąpi, zależał jego los. Czego się spodziewał? Nie wiedział. Pragnął dostąpić cudu, zatracić się w ekstazie, oderwać się od wszystkiego, co było ongiś w czasach pradawnych — przed tą chwilą. Roztapiał się w nicości, obezwładniony. Może na zawsze utonie w pustce i zaprzepaści swój los, może sam sobie stanie się obcy i obojętny, a każdy zrobi z nim, co zechce?... Może otrząśnie się ze złudy opętania? Powróci do siebie i nadal będzie człekiem prostym, zwyczajnym, wplątanym jeno w poczwarne rzuty i skręty huraganu dziejowego? Zostanie z piętnem tragicznej swojej śmieszności, jako pył, jako nic — ofiara wśród miljonów jemu podobnych.

A może — i to wnet, natychmiast — rozsunie się przed nim zasłona, która od dnia urodzenia odgradzała go od prawdy jego przeznaczeń? Dostąpi łaski cudu — odnajdzie siebie i własną drogę...

Czyjaś ręka, lekka jak westchnienie, dotknęła strun jego duszy. Oddźwiękły ledwie dosłyszalnym szeptem i wypowiedziały słowo najtajemniejsze, to samo, które zawsze spoczywało na dnie duszy, uśpione, niepoznane. Zaczęło się misterjum ekstazy.

...Błąkały się tony najcichsze, szybko zmienne. Urywała się ich myśl, powracała, szukała drogi i wyrazu. Pytała, wątpiła, zamilkła na długo raz i drugi. Sięgała wkoło siebie, jak niewidoma w miejscu obcem, nie poznając niczego. Bezradna, spłoszona, znękana myśl zamierała — zagasła... Cisza.

Odezwał się jeden ton i uderzał głucho, jak jęk dzwonu, jak dalekie, dalekie echo dział, bijących miarowo, kolejno jedno za drugiem. Przewinął się i przebrzmiał motyw dręczącego pytania, zatargał niepokojem i zmilkł. — Z trudem, z wysiłkiem dźwigała się ku czemuś melodja posępna, jeszcze spętana, wlokąc niezmierny ciężar cierpienia. Zmaga się ze straszną prawdą, lęka się prawdy, przystaje, milknie i zwleka...

Aż znienacka wydrze się i jak gromem rozegrzmi zła wieść.

— Śmierć — śmierć!...

Zwali się bezmiernem brzemieniem niepokonana prawda śmierci. Przygniata, w ziemię wdeptuje straszliwy żal...

Olbrzymim głosem, na wszystkie strony świata huczą chrapliwe surmy, roznoszą, powtarzają wieść — żałobę, aby płakał naród wszystek.

— Śmierć! Śmierć!...

...A teraz własny żal, dławiące, dręczące łkanie. W bólu niepojętym wydzierają się z duszy łzy. Zapada serce coraz głębiej w otchłań nieszczęścia, żegna sprawy, radości życia, zstępuje w mrok wiecznej żałoby...

Rita grała bez końca w zapamiętaniu, do utraty sił i utraciła już świadomość tego, co gra. Ale wciąż wracała, nie wiedząc o tem, do przejmujących dreszczem akordów marsza żałobnego na śmierć Ziegfrieda ze „Zmierzchu Bogów". I za każdym nawrotem motywu śmierci dowiadywała się jakby nanowo, że nieszczęście już się spełniło i nagą prawdą się stało. Chwiała się ze znużenia, ręce jej drżały, palce nie trafiały na klawisze, ale nie mogła przestać. Bała się ciszy, która nastąpi natychmiast po ostatnim dźwięku. Ta cisza wciągnie ją w jakiś okropny odmęt, w tej ciszy wypowie się na nią wyrok, będzie musiała poddać się i zginąć. Ona gotowa, o, dawno gotowa, ale jeszcze, jeszcze bodaj jedną chwilę...

Na fortepianie z lewej strony od ściany na wysuwanej, hebanowej tafelce, gdzie dawniej stawiało się świece, leżała na swem zwykłem miejscu maleńka chińska skrzyneczka z oliwnego drzewa z bronzowem okuciem. Kiedyś przywiózł ją Fell z podróży z eskadrą na Daleki Wschód. Wprawiona w nią była na spodzie szkatułeczka do nakręcenia z miłym, starym menuetem, ale zostawało jeszcze dużo wolnego miejsca na przeróżne drobiazgi. Rita spogląda na nią z utęsknieniem, ale jeszcze odtrąca ją strach. Igra ze skrzyneczką, jak dziecko, które ciągnie, kusi psota, rzecz surowo zakazana. Co będzie? Ejże... Ejże... Jest znowu maleńką Ritą, cudownie szczęśliwą, bez trosk, bez myśli — ale cóż, tej skrzyneczki za nic nie wolno ruszyć. Dlaczego? Niewolno i koniec! Też dopiero... A jeżeli nikt nie zobaczy? Tylko zajrzy, delikatnie odemknie wieczko, niczego nie ruszy, nie! Potem się nie przyzna. Oszuka mamusię? Nie, nie oszuka, jakżeby mogła? Ona tylko troszeczkę odemknie śliczne pudełeczko, zajrzy przez maleńką szczelinkę...

Nagle klawisze zadźwiękły zgrzytliwym fałszem. Same ręce porwały skrzyneczkę, otwarły — zimno w dłoni, zimno w mózgu...

— Fell... Fel... Ja nie mogę bez ciebie... Nie mogę... Nie mogę...

Ktoś ją porywa za ręce, rozkrzyżowuje przemocą. Szarpie się, broni się. Skrzyneczka pada na ziemię. Czyjeś ramiona zaciskają się na niej. Napastnik łamie jej palce, rozdziera zaciśniętą dłoń. Strzał! Drugi strzał...

Rita stoi oparta o ścianę, cała zdrętwiała z przerażenia patrzy na zbroczoną rękę doktora Helma, krew bije z rękawa i już ścieka na podłogę. Ze zdumieniem patrzą nawzajem w swoje twarze pobladłe i zmienione, ze zdumieniem słuchają słodkich cichuteńkich dźwięków mozartowskiego menueta, które sączą się z porzuconej na ziemi chińskiej skrzyneczki.

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

(D. c n.).

CLAUDE ANET

MAYERLING

22)

— Jesteś w błędzie — ciągnął cesarz bezbarwnym głosem — sprawa ta nie może być uważana za osobistą i pod takim kątem widzenia rozwiązana nie będzie. Dotyczy najpoważniejszych zagadnień państwowych. Zrozumiał to Ojciec Święty, gdyż do mnie zwrócił się z odpowiedzią na list, który wystosowałeś do niego. Taka prośba, jak twoja, mogła wyjść tylko z moich ust, szefa rodziny i cesarza, obdarzonego — paktem regulującym te sprawy — absolutną władzą.

W tem miejscu jął cesarz zatapiać się w mądre, prawne, wywody i omawiać statut z roku 1839-ego, nadający prawa i prerogatywy naczelnikowi rodu. Nagle, zajął go jeden punkt, a mianowicie, czy cesarz jest związany tym paktem, czy też w charakterze najwyższej władzy decyduje o nim.

Wydawało się, że pragnie skłonić Rudolfa, by podzielał z nim razem zachwyt i uznanie dla Ferdynanda I-go, oraz jego doradców, którzy zredagowali ten akt, tak zręcznie i ostrożnie.

W Rudolfie gotowało się wszystko. Gdy wreszcie cesarz umilkł, rzucił niecierpliwie:

— A ta odpowiedź?

Cesarz spojrzał na niego zdumiony.

— Czy nie wystarczyło ci kilka minut, spędzonych tutaj, by poznać ją?... Jest odmowna, mój chłopcze, odmowna...

Kiwał głową, dla poparcia swojej odmowy. Następnie uważał za stosowne dodać jeszcze kilka słów ogólnej natury. Rudolf nie słyszał tego, co mówił.

Teraz, gdy znał już odpowiedź papieża, wiedział, że nie wierzył nawet przez chwilę, iż może brzmieć inaczej. Działał, zmuszony przez okoliczności. Człowiek mający przed sobą tylko dwie drogi, któremi może ujść przed niechybną śmiercią, probuje i jednej i drugiej. Wtem spostrzega, że jedna z nich jest ślepą uliczką. Pozostaje druga, odjechać z Marją... uciec...

W tym momencie wstąpiła w niego nadzieja, że cesarz skończy na tem. Nie walczył jeszcze, a czuł się już przytłoczony zmęczeniem. Musiał wypocząć, ażeby przygotować się do ucieczki...

Lecz cesarz miał przed sobą temat i rozwijał go. „Jak wolno" myślał Rudolf „to starzec".

Spoglądał przez chwilę na uszy ojca. Wydawały mu się zawsze niezmiernie duże. Urosły jeszcze? Skóra była pergaminowa. Czy krew nie przepływa przez nie?

„Są umarłe" pomyślał „odpadną lada chwila".

Przypuszczenie to rozśmieszyło Rudolfa.

Cesarz urwał. Zapanowało milczenie. Rudolf wstał, jakby audjencja była już zakończona.

Franciszek Józef zatrzymał go ruchem ręki.

— Nie skończyłem.

Pociągnął wąsa, co było u niego niechybnym znakiem wielkiego zdenerwowania.

„A więc — pomyślał Rudolf — zaczyna się. Przystępujemy do walki".

Ujrzał roześmianą twarzyczkę Marji i poczuł się silnym.

— Nigdy nie miałem powodu wtrącać się do twojego osobistego życia— ton cesarza zmienił się — i pragnąłem nie mówić z tobą nigdy o tem. Lecz dziś sprawy przyjęły taki obrót, że interesować musi się nie ojciec, lecz cesarz. Masz romans...

Teraz już Rudolf nie mógł opanować się. Jego cierpliwość została wystawiona na długą próbę. Zapomniał o szacunku, jaki był winien ojcu i rzekł szorstko.

— Jestem jedyny, który ma romans?

Cesarz ciągnął z wyniosłą oschłością, nie tracąc przytem obojętnego spokoju:

— Nie idzie tylko o ciebie. Nie potrafiłeś utrzymać tego romansu w tajemnicy. Popełniłeś wielkie nieostrożności. Twoja żona jest o tem poinformowana i wiesz, na jakie niebezpieczeństwo naraża nas. Musimy strzec się przed skandalami. Ludzie na naszem stanowisku nie mogą tolerować skandalu. Otóż, jeżeli wszystko pójdzie nadal po tej samej linji, sprawa nabierze rozgłosu... A ten rozgłos spadnie na nasz dom.

Mówiąc te słowa, tak wiele znaczące dla niego, cesarz wzmocnił głos:

— Jesteśmy otoczeni wrogami. W interesie wielu ludzi leży wyeksploatowanie tego wszystkiego, co może osłabić monarchję. Powiedz mi, czy pragniesz obalić swoją lekkomyślnością dzieło, nad którem pracujemy z taką wytrwałością i z takiem zaparciem się siebie?

Zbyt wiele słów w tych krótkich zdaniach raniło boleśnie Rudolfa. Czy mógł słuchać bez gniewu, jak cesarz nazywa romansem jego nierozerwalną miłość? Jak mówić o lekkomyślności, gdy uczucia Rudolfa szły poza życie i nie lękały się stanąć śmierci oko w oko. Ogarniała go rozpacz.

Lecz opanował nerwy i pozostał spokojny.

Cesarz, tymczasem, czekał na odpowiedź.

— Nie masz mi nic do powiedzenia w tym względzie?

— Czego chcesz ode mnie?

— Chcę, żebyś zerwał z panną Vetsera.

Na dźwięk nazwiska Marji Rudolf zadrżał. Zdawało mu się, że wypełnia wielką, milczącą komnatę i że poruszyły się nawet meble. Tylko cesarz był ponury i obojętny, spoglądając uporczywie w twarz syna.

Rudolfa dławiło wzruszenie, nie mógł wymówić słowa. Zaprzeczył ruchem głowy.

Wtedy odezwał się cesarz:

— Mam wrażenie, że nie zrozumiałeś mnie.

Tym razem Rudolf przemówił. Zrazu, głuchym głosem, który następnie nabrał gorących nut:

— Twoje życzenie nie zdziwiło mnie. Gdy posłałeś po mnie, wiedziałem, o czem mówić będziesz ze mną. Zerwać z...

Zawahał się. Użyć imienia Marji wobec ojca, byłoby zdaniem Rudolfa — świętokradztwem. Panna Vetsera? Czy istniała jakaś panna Vetsera?

Podjął urwane zdanie:

— Zerwać...? to niemożliwe. Nie myśl o tem. Nie sądź, że mówię to w gniewie. Już od miesięcy stoję wobec tego samego pytania. I, zrobiłem odkrycie, a mianowicie, że mam przed sobą tylko jedno życie, i że chcę... wstyd mi niemal powiedzieć to słowo, które być może, nie zabrzmiało nigdy w tych murach... chcę być szczęśliwy.

Umilkł, gdyż zdało mu się, że ojciec spogląda na niego z zaciekawieniem.

„Muszę mu się wydawać najdziwniejszem zwierzątkiem" pomyślał Rudolf. Czuł się w tej chwili zupełnie swobodny i ciągnął tonem, w którym przebijał, zaledwie dostrzegalny, akcent ironji.

— Dziwię się doprawdy, że zmuszasz mnie, bym zdecydował się na zajęcie jednej z dwuch stron. Wyobrażałem sobie, że rozum twój i doświadczenie przyjdą mi z pomocą, i że zezwolisz mi na prowadzenie tego rodzaju życia, które pogodzi wypełnianie sprzecznych obowiązków — obowiązków względem ciebie i względem siebie samego Jest to, doprawdy, niemożliwe?

Cesarz uczynił głową znak przeczenia. Uderzał w stół nożem do przecinania papieru. Była to jedyna oznaka zdenerwowania. Ten cichy odgłos gniewał Rudolfa. Czuł, że nie posunął się o krok naprzód. Nagle, postanowił atakować.

— Nie zależy mi na władzy. Atmosfera, jaką się tu oddycha, jest zatruta. Myślałem, przez długi czas, że będę mógł być użyteczny. Lecz twoi doradcy, ojcze, odebrali mi to złudzenie...

— Niema doradców, jestem ja!

— To bez znaczenia. Mimo wszystkich moich starań, mimo zadań, które wypełniam, czuję się niepotrzebny w tem Cesarstwie. Gram w niem tylko rolę dekoracyjną; nie wierzę już w to, co czynię. A więc rezygnuję. Niema chyba, o ile wiem, prawa, które zabroniłoby mi zrezygnować.

Nóż opadł na biurko.

— Co mówisz? — zabrzmiał szorstki głos Franciszka Józefa — zapominasz, że masz misję do wypełnienia i...

Rudolf nie pozwolił mu skończyć:

— Inny wypełni ją. Czy zdarzy się to u Habsburgów po raz pierwszy, że dziedzictwo przejdzie w ręce bocznej linji? Mój kuzyn, Franciszek Ferdynand, obejmie moje miejsce i to z wielkiem powodzeniem. Posiada zrównoważony światopogląd, czem ja się pochwalić nie mogę. W kołach rządowych spoglądają na mnie nieufnie. Cieszyć się będą, gdy odejdę.

— Nie odejdziesz.

Głos cesarza brzmiał stanowczo. Rudolf poczerwieniał. Uczynił jednak wysiłek, by opanować się.

— Mogłem był nie urodzić się wcale i mogę jutro umrzeć. Nie wpłynie to na upadek monarchji. Masz, ojcze, nieprzebraną rezerwę w moich kuzynach...

— Dość sofizmatów — rzekł cesarz.

— Ależ to nie są sofizmaty — rzucił Rudolf. — Czy nie zrozumiałeś tego, od początku naszej rozmowy, a więc od godziny? Nareszcie, znalazłem szczęście! Nie wyrzeknę się szczęścia! Jeżeli nie pozwolisz mi cieszyć się niem na stanowisku oficjalnem, stanę się zwykłym człowiekiem i żyć będę życiem prywatnem.

— A z czego żyć będziesz?

Padło suche pytanie. Rudolf obrzucił ojca gniewnem spojrzeniem.

— Czy mam przez to rozumieć, że pozbawisz mnie wszelkich środków materjalnych? Możesz uczynić to, lecz będzie to sposób niegodny.

— Milcz! Nie mam obowiązku odpowiadać na twoje pytania... uczynię to, co będę uważał za najlepsze.

— Uważaj ojcze. Z trudnego położenia, w jakiem chcesz mnie zostawić, jest inne wyjście...

Długie milczenie nastąpiło po tem zdaniu, w którem czuć było wyraźną groźbę. Franciszek Józef oparł się o biurko i głowę zatopił w rękach. Czynił ten gest zwykle, gdy chciał się zastanowić nad czemś.

Rudolf wstał i, zapominając o etykiecie, tak srogo przestrzeganej na dworze Habsburgów, przemierzał gabinet ojca nierównemi krokami. Był już zdecydowany. Uzyska swoją wolność... albo też... Myśl utraty Marji nie zaświtała nawet w jego głowie. Bez względu na to, jakiem będzie ich przeznaczenie, razem odejdą stąd! Nic ich nie rozłączy. Rudolf czuł się tak znużony, że marzył o ostatecznym spokoju. Dlaczegoż nie porzuciłby natychmiast tego lodowatego salonu? Czego spodziewał się jeszcze? Absurdem jest walczyć, gdy istnieje kraj, do którego dostęp jest łatwy, gdzie ustaje wszelka walka i panuje wiekuisty spoczynek. Zamajaczył mu przed oczami obraz tego świata tak czarowny, jasny, pociągający i nieziemsko piękny, że trwał pod jego urokiem do końca tej przykrej sceny.

Wreszcie, cesarz wyprostował się. Podszedł do swojego syna, i kładąc mu rękę na ramieniu, pociągnął go na kanapę.

— Siądźmy. Nie przemawia już cesarz do ciebie. Porozmawiajmy, jak ojciec z synem.

Gest i ton zdumiały Rudolfa. Nie rozprężyły się jednak nerwy. Był to, niezawodnie, manewr ojca. Franciszek Józef był zręcznym politykiem i potrafił postępować z ludźmi. Rudolf przyrzekł sobie, że będzie ostrożny i nic nie zaryzykuje. Niemniej, na zaproszenie ojca, odpowiedział gorąco. Cesarz odniósł wrażenie, że jest szczery.

— Nic nie jest w stanie uradować mnie bardziej.

Cesarz usiadł obok niego.

— Jesteś moim synem, moim jedynakiem. Kocham cię, i nie wiem czemu nie mieliśmy nigdy sposobności rozmawiać z sobą szczerze, jak ojciec z synem. Nie mam dla siebie wolnej chwili, wiesz o tem.

Cesarz westchnął:

— Co za praca, jakie kłopoty!

Ciągnął tonem serdecznym, zwierzał swoje życie, od osiemnastego roku, opowiadał o burzy dziejowej, która pędziła podówczas poprzez Europę i obalała dynastje, jak domki z kart, opowiadał o swojej lampie zapalonej po raz pierwszy w ciemnym jeszcze Wiedniu przed czterdziestu laty. Opowiadał o tych latach niewdzięcznych wypełnionych pracą codzienną. A teraz nadeszła starość i ani dnia wypoczynku.

Mówił cicho, nie skarżąc się, nie starając wyolbrzymieć swojej osoby, lecz z wszystkich tych słów, rzucanych z pozorną niedbałością, Rudolf stwarzał sobie nowy pogląd o ojcu.

„Nigdybym nie uwierzył, że jest taki zręczny" pomyślał.

Przypomniał mu się aforyzm współczesnego pisarza: „Habsburgowie są urodzonymi artystami". Zdanie to zdziwiło go wtedy. A teraz, rzecz dziwna, odkrywał talent u swojego ojca!

W tej chwili podziwiał go, lecz wola Rudolfa pozostawała niezłomna.

(D. c. n.).